

Podróże małe i duże

Podróże - małe i duże

Banalne jest stwierdzenie, że podróże spowszedniały. Wszyscy przemieszczają się z miejsca na miejsce. Mobilna praca, także życie towarzyskie i wypoczynek. Zdajemy się być, jak zwie to Zygmunt Bauman, ponowoczesnymi nomadami, wędrującymi wciąż i bez przerwy, znajdującymi podniecie i impuls do kolejnych wypraw w najbardziej nawet błahym uzasadnieniu.

Wędrowanie, wyjazdy, zmiana miejsca pobytu stały się wartościami nie potrzebującymi dodatkowego uprawomocnienia. Samo przemieszczanie się uznano za pozytywne, niezależnie czemu służy. Zawodowe płaczki oznajmiają w telewizji, że ileś dzieci nie wyjechało na wakacje. Problemem wg nich nie jest to, jak dzieci spędziły wolny czas, lecz gdzie go spędziły. Zatem dziecko, które ma ubogich, lecz pomysłowych i troskliwych rodziców, z założenia spędza wakacje w gorszy sposób, niż dziecko rodziców bogatych, lecz pragnących jedynie pozbycia się milusińskiego z domu na okres kilku tygodni. Dziecko, które brało udział w licznych wycieczkach po najbliższej okolicy, w jagodo- i grzybobraniach, w wyprawach nad pobliski staw lub rzekę, jest zatem godne pożałowania. Inaczej niż jego rówieśnik, którego wywleczono kilkaset kilometrów od domu, faszerowano podłym żarciem ze zbiorowej stołówki na przemian z fast foodami, ciągnano po identycznych na całym świecie aqua parkach, umożliwiono „inicjację” w dorosłość polegającą na zapaleniu papierosa czy wypiciu butelki wina w gronie podobnych sobie. Pierwszy jest biedny i skrzywdzony przez los, bo pozostał w domu, drugi zadbany - wyjechał przecież na wakacje.

To tylko przykład. Nieszczęśliwi są też rodzice, którzy nie jeżdżą na wczasy, nieszczęśliwi wszyscy, którzy nie widzieli jeszcze Wieży Eiffla, Big Bena, Golden Gate, weneckich kanałów i szkockich zamczysk. A mnie się zdaje, że ten ciągły pęd - i iście prometejski zapal do wprawienia w ruch innych - jest przejawem strasznej choroby naszych czasów. Choroby braku zakorzenienia i tożsamości, unifikacji i ujednolicenia. Im szersze kręgi zatacza schorzenie, tym więcej apoteoz podróży, tym szybciej przewalają się dookoła ogłupiałe, pogrążone w gorączce tłumy wędrowców. I tym większe zyski osób, które z mobilności żyją: agentów biur podróży, handlarzy „pamiątkami”, właścicieli hoteli i moteli, firm przewozowych itp.

Niesamowita popularność podróżowania wydaje mi się spowodowana erozją poczucia identyfikacji z danym terytorium. Nie czujemy się dobrze u siebie - dlatego pędzimy gdzie indziej, tam próbując odnaleźć swoje miejsce. Trwamy w złudnym poczuciu, że gdzieś, za mniejsze lub większe pieniądze, kupimy sobie tożsamość, odnajdziemy samych siebie i nam podobnych. W efekcie, im więcej osób ucieka przed tym co jest (a ucieka, bo najtrudniej zająć się zmianą siebie i swojego najbliższego otoczenia - łatwiej naiwnie liczyć, że ktoś w tej pracy nas wyręczy, a otoczenie się przystosuje, nie wymagając za wiele), tym większa obcość, wzajemne niezrozumienie, brak autentycznej więzi. Są tylko przelotne znajomości, przelotne flirty, przelotne - wręcz jednorazowe - tożsamości. Nie osławiamy żadnego z miejsc, w które zawitaliśmy w naszym pędzie. Michał Schluter i David Lee podsumowali ostateczny efekt tego procesu krótko i dosadnie pisząc w swojej „The R Factor”; „Obcym jest każdy z nas, gdy wychodzi na ulicę”.

Dziś tu, jutro tam. Bez zwracania sobie głowy tym, co zostawiamy za tylną szybą samochodu. Narzekamy na przestępczość, wandalizm, patologie społeczne - nie próbując dostrzec, że im słabsze więzi między ludźmi a zamieszkiwaną przez nich okolicą i jej pozostałymi mieszkańcami, tym więcej takich zjawisk. Tak wychwalana mobilność oducza dwóch podstawowych umiejętności:

odpowiedzialności za własne czyny oraz wzajemnej kontroli i dbałości o wspólne dobro. Nomada martwi się tylko o swój podręczny bagaż, zaspokojenie popędów i zachcianek - cóż go obchodzą lasy zamienione w parkingi, cóż dzielnice nędzy i młode dziewczęta zarabiające na życie prostytutką? Tyle co zeszłoroczny śnieg - widziany oczywiście w Andach, Alpach lub Himalajach.

Fiksacja na punkcie podróżowania ma też nieco inny wymiar. Przyczynia się do i tak już sporego ujednolicenia kulturowego. Nie wystarczy unifikacja dokonująca się pod wpływem światowego rynku, konieczna jest dodatkowa, kreowana przez sektor turystyczny. Nawet nomada potrzebuje namiastek domu, korzeni, identyfikacji, czy też - nie wdając się w górnolotne dywagacje - orientacji w społecznej i kulturowej przestrzeni. Nie oszukujmy się, mało kogo stać na wyprawę ku naprawdę nieznanemu, nieoczekiwanemu. Większość ludzi to konformiści, ceniący swe drobne i wielkie przyzwyczajenia, składający hołdy powtarzalności i jednakowości. To dla nich upodabnia się jedne miejscowości do drugich, zostawiając w spokoju różniące się od siebie tzw. atrakcje turystyczne, które mają za zadanie przyciągać w konkretne miejsce. Cała reszta jest niemal jednakowa. I będzie wciąż bardziej jednakowa każdy turystyczny autokar to kolejny walec miażdżący kulturową różnorodność.

J.R.R. Tolkien, autor pięknego „Władcy Pierścieni” pisał przed laty w jednym z listów do syna: „To co było większe, mniejszym się teraz staje, a świat cały matowieje czy spłyca się. Przeobraża się cały w jedno przekłete, małe, prowincjonalne przedmieście. Kiedy już /.../ produkcja masowa rozprzestrzeni się na cały Bliski Wschód, Daleki Wschód, Środkowy Wschód, ZSRR, Pampę, Gran Chaco, Nizinę Dunajską, Afrykę Równikową, Bliższy, Dalszy i Średni Mumboland, Gondwanę, Lhasę i najbardziej zapadłe wiochy Berkshire, jacyż wtedy będziemy szczęśliwi! W każdym razie powinno to położyć kres podróżom...”. I choć opis jest trafny, to końcowa uwaga nijak się ma do rzeczywistości - zamiast kresu podróży nastąpiła ich eskalacja. Dlaczego? Kiedyś nie trzeba było tak intensywnie podróżować. Z bardzo prostego powodu: każda wioska, miasteczko i region były dla swoich mieszkańców mikrokosmosem pełnym tajemnic i fascynujących zagadek. Każda okolica kryła w sobie tyle skarbów dla zmysłów, tyle wartych obejrzenia zjawisk. Tu i ówdzie widniał opuszczony młyn czy dom rozpalający wyobraźnię, w sąsiedniej osadzie zamieszkiwał stary człowiek, który zląził świat i chętnie o tym opowiadał, nad rzeką kryjówką miały bobry i sztuką było tak je podpatrywać, by nie uciekły spłoszone obecnością człowieka. A dziupla w drzewie na końcu wsi? A kościół pełen budzących ciekawość rzeźb i malowanych na drewnie stacji Drogi Krzyżowej? A pastusze szałas daleko wśród łąk? A przyjazd waganatów wystawiających wszelakie ucieszne sztuki? A uroczysko, na które zapuszczali się tylko najodważniejsi? A doroczny jarmark? A opowieści kobiet podczas skubania pierza? A odwiedziny domokrażcy? A przemarsz wojska w mundurach budzących zazdrość każdego chłopca? A setki i tysiące innych atrakcji, których my, przyzwyczajeni do obfitej komercyjnej oferty, nawet byśmy nie zauważyli lub zbyli lekceważącym wzruszeniem ramion?

Dzisiejsze podobieństwo niemal wszystkich miejsc na ziemi stwarza dodatkowy impuls do podróży. Obecnie dzieci często rzeczywiście muszą wyjechać na wakacje, aby zobaczyć coś wartego uwagi, bo na miejscu mają jedynie rachityczny las, stację benzynową i centra miast unowocześniane tak, by zatraciły zabytkowy walor. Nie mogąc odnaleźć niczego niepowtarzalnego tutaj, gonimy za resztkami niepowtarzalności wegetującymi gdzie indziej. Ale też i odwrotnie - gnanie z miejsca na miejsce nie pozwala nam dostrzec tego, co warte uwagi u siebie. Ojczyzna - mała czy duża - jest nam obca; znam wielu ludzi, którzy lepiej orientują się w realiach Łeby Berlina czy Indii niż własnego podwórka.

Zmierzając ku końcowi warto dodać jedną rzecz. Podróże nie są złe - pod warunkiem, że nie stanowią ucieczki od realnego świata, bezmyślnego wpatrywania się w kalejdoskop zmieniających się wrażeń, braku chęci do zajęcia się konkretnym skrawkiem ziemi, w którym przyszło nam mieszkać. Tak jak w przypadku niemal wszelkich czynności i zajęć chodzi tutaj o umiar i właściwe proporcje. O umiejętność zachowania równowagi między znajomością najbliższej okolicy a wędrownymi w siną dal.

Wielu ludzi czerpie zadowolenie z tkwienia po uszy w wirze ciągłych wypraw. Ja zaś jestem szczęśliwy, gdyż miałem okazję poznać człowieka, który nie ruszając się przez całe życie poza granice swego miasteczka i najbliższej okolicy zdążył być obywatelem pięciu różnych państw. Zapewniam, że więcej miał do powiedzenia o cudach tego świata niż znakomita większość tych, którzy podążają bez ustanku na wschód i zachód, północ i południe. Kto był wszędzie - nie był nigdzie, kto widział wszystko - nie zobaczył niczego. Nawet jeśli ma dom pełen „pamiątek z podróży”.

Remigiusz Okraska